U mieszkańców raju



Mołdawia

Barbara Gruszka-Zych

Przed odwiedzeniem Mołdawii straszą ci, którzy tu nie byli. Ale w tym kraju nie słychać o napaściach na turystów, ani kradzieżach ich aut. Za to ludzie są życzliwi, a krajobrazy nieziemskie.

Według legendy, kiedy Bóg stwarzał świat i rozdawał narodom

ziemie zapomniał o Mołdawianach. W ramach zadośćuczynienia, zaproponował im zamieszkanie w raju. I dziś te ziemie urzekają. Rozlewające się po horyzont pofałdowane pola i pastwiska. Onieśmielające pęknięcia ziemi – rozległe kaniony i wąwozy z siecią strumyków na dnie (to do nich zbiega się bydło i konie z równin, jak gdzieś na amerykańskiej prerii). Winorośle, nawet nocą dojrzewające od nagrzanych w dzień kamieni wzgórz. Szeroki, meandrujący, miejscami dziki Dniestr, na którym kiedyś przebiegała granica między Rzymem a Bizancjum. Wszystko to skarb miejscowych, ale i odważnych turystów.

Psy na granicy

Kiedy dziś przekracza się granicę ukraińsko-mołdawską, to jakby wjeżdżało się do wielkiej wioski, a nie do raju. Na przejściu za ukraińskimi Czerniowcami nasz autobus rejsowy ze Lwowa do mołdawskich Bielc zatrzymuje się do kontroli granicznej. Celnicy każą siedzącym za nami Gagauzom pokazywać zawartość ich napchanych kraciastych toreb (to wszędzie rozpoznawalny, międzynarodowy „środek transportu" różnych towarów). Ze wszystkich stron dochodzi nocne ujadanie psów, które denerwują się na obcych. Do nas też przybiegło ich kilka, ale nikt z celników na to nie reaguje. Jakiś wyróżniony przez nich psiak ma tu nawet swoją budę. A toaleta zamknięta, bo północ. No to wszyscy udają

się na spacer za nią. Na wschód od polskiej granicy zaczynają się wysypiska śmieci nawet w centrach miast, bo po prostu brak tu nawyków higienicznych. I to najczęściej odstrasza turystów. Papieru toaletowego nie wrzuca się do muszli, ale obok niej, żeby nie zatkać rur. Nie można pić niegotowanej wody, nie wszędzie da się kąpać, bo w niektórych zbiornikach czai się cholera – straszą w internecie. Miejscowych to nie dotyczy, są uodpornieni, ale wydelikaconych przybyszów z Zachodu – tak. Ten brak kultury wiąże się poniekąd z panowaniem sowieckim. Wtedy wszystko było nie swoje, ale wspólne, czyli – cudze. Nikomu też nie zależało na podniesieniu kultury życia. Teren Mołdawii, w większości dawnej Besarabii, historycznie był związany z Rumunią, ale przez cały XIX wiek należał do Rosji. Po konferencji jałtańskiej został wcielony do ZSRR. Mołdawianie uniezależnili się dopiero w 1991. Ale nikt nie znalazł dobrego pomysłu na krajową gospodarkę i turystykę. Reżim sowiecki systematycznie zabijał potrzeby wyższe tutejszych mieszkańców. – *Moja babcia Polka, od strony mamy Tosi, była dwa razy zsyłana na Sybir* – opowiada Dmitrii Curkan z Bielc, nasz przewodnik po mołdawskich trasach. – *Ale jak umarł Stalin, to się popłakała. Zakazano nam wierzyć w Boga i ludzie to kupili, bo bali się prześladowań. Cerkiew prawosławna akceptowana przez rząd przetrwała. Ale wielu kojarzyła się z reżimem. – Kościół katolicki rozwija się tu dopiero od 12, 13 lat* – mówi duszpasterz kiszyniowskich katolików, Polak, ks. Stanisław Kucharek, pochodzący z rumuńskiej Bukowiny. Ta szczelina w życiu

duchowym do dziś daje o sobie znać.

Kłopoty Eleny

Może kiedyś uroda tych ziem wystarczyła, żeby nazywać *Mołdowę* rajem. Dziś sytuacja tutejszych mieszkańców nie przypomina życia w raju. Według danych statystycznych Mołdawię zamieszkuje 4 445 tys. mieszkańców. Ale niektórzy mówią, że już połowa przeniosła się poza granice. Wyjechali do pracy w Portugalii, Hiszpanii. – *Średnia emerytura wynosi tu 40 dolarów, pensja – 100 dolarów* – wylicza Helena Usova z Bielc, pracująca w trzech miejscach, żeby godnie żyć. Jest też szefową „Jutrzenki", pisma tutejszej Polonii. Jej zsumowana płaca wynosi średnio od 250 do 300 dolarów miesięcznie. A ceny w sklepach nawet wyższe niż u nas. Tylko przejazd trolejbusem kosztuje w przeliczaniu na złotówki 30 gr. – *To normalne, w Polsce też emigrują za pracą na Zachód* – tłumaczy Elena Palinciuc, absolwentka krakowskiej polonistyki, studentka PAT-u, starająca się udowodnić swoje polskie pochodzenie. Wtedy łatwiej będzie jej wyjechać. Teraz musi załatwiać wizę. I – jako Mołdawianka – przechodzić przez te wszystkie „graniczne" upokorzenia. Do nich należy wypytywanie, ile butelek wódki wiezie (jest tania, dobra na prezent albo zarobek). A ona alkoholi nie wozi i dlatego się denerwuje. Zdarza się, że ludzie pocztą pantoflową ogłaszają, że mają do sprzedaży swoje nerki. W taki sposób chcą zarobić na kształcenie dzieci. Żeby przynajmniej im żyło się lepiej.



Mołdawia

Studnia zamiast mineralnej

– *Bielce nie są miastem turystycznym, tylko bloki i bloki* – śmieje się Helena Usowa. – *Odwiedzający fotografują nasze dziury na drogach i rury, które prowadzone są na zewnątrz budynków* – wyprzedza nasze zainteresowanie. – *Nasz teatr budowano 10 lat. A teraz ma przerwę nie tylko w sezonie letnim, ale i zimowym, bo nie starcza na ogrzewanie.* Bieda wychodzi spomiędzy ekskluzywnych supermarketów i ulic z dobrymi sklepami. Wody w kranach brakuje nieraz i cały tydzień, dlatego przy Domu

Polskim wykopano studnię głębinową o wdzięcznej nazwie „Beatka”. Teraz Helena nie musi kupować mineralnej. Stada psów na dworcu i na postsowieckich blokowiskach. Nie sprzątane śmieci na ulicach, brak koszy. Mizerna baza noclegowa. Za pokój w hotelu w Bielcach trzeba by zapłacić 50 dolarów. Na szczęście znajomi załatwiają nam tanie mieszkanie w bloku. Właśnie z Bielc wyjeżdżamy w trasę z 26-letnim Dmitrijem, już uznanym komputerowcem, też zarabiającym na życie w trzech firmach. Dima skończył psychologię i może dlatego ma do wszystkiego dystans. Kiedy na dziurawych drogach Gagauzji siadają nam dwa koła, on spokojnie zmienia jedno, a drugie dopompowuje na kolejnych stacjach i bez narzekań dojeżdża do Kiszyniowa. W zeszłym roku z koleżanką zjeździł Mołdawię, żeby wydać kartki promujące kraj. Daje nam dwie „swoje” pocztówki. Mamy tylko kilka dni, więc wybieramy parę prezentowanych na nich miejsc. Dima włącza tutejsze radio „Dorok” (co po rumuńsku znaczy „dobrej drogi”). W Mołdawii obowiązuje rumuński, ale aż 60% mówi po rosyjsku. Choć ostatnio grupa deputowanych socjal-liberałów wystąpiła z propozycją usuwania rosyjskich napisów i rosyjskiego dubbingu z filmów wyświetlanych w ich kraju. Okazało się jednak, że wszystkie kopie sprowadzane są z Rosji, bo ich zakup w Rumunii byłyby droższy.

Słonecznki ze spuszczonymi głowami

Najpierw trafiamy do Sorok, stolicy tutejszych Romów. Na wzgórzu wznosi się dzielnica domów, czasem prawie pałacyków, czasem budowli przypominających mieszkania patrycjuszy rzymskich. Mieszanka stylów. A na placach bose Romki rozwieszające pranie. – *Lepiej się nie zatrzymywać* – ostrzega Dima. Jeden z majętniejszych Romów na szczycie wzgórza przed miastem jako znak wdzięczności Bogu ufundował monument zwany przez tubylców „świeczką". W jego wnętrzu mieści się prawosławna kaplica. Stąd rozciąga się też widok na szerokie wody szarego dziś Dniestru. – *Tam kursuje prom* – Dima pokazuje ciemną plamkę na rzece. Po drodze zatrzymujemy się, żeby pofotografować. Ciemne drzewa jakby specjalnie posadzone w szeregu na linii horyzontu. Przecięte rzeką wąwozy pełne spragnionego wody i zieleńszej tu trawy bydła. – *Co ciekawego jest na moim polu?* – wybiega do nas podekscytowany gospodarz, kiedy fotografujemy jego pole. – *Przepiękny widok* – odpowiadamy zgodnie z prawdą. Podczas podróży męczy nas upał. W samochodzie nie ma klimatyzacji i w domach też, bo mało kogo na to stać. Właśnie upał sprawił, że słoneczniki na mołdawskich polach zamiast obracać się za słońcem spuściły głowy. Stoją sczerniałe w niekończących się szeregach. Susza zniszczyła 80% pól uprawnych. Prezydent Vladimir Voronin, z pochodzenia Rosjanin – jak mówią „komunista z twarzą europejską", zwrócił się o pomoc do społeczności międzynarodowej. Odpowiedziała mu Rosja i Unia Europejska. Przysłali w sierpniu transporty z żywnością. – *Ale i tak*

gospodarczo Mołdawia nie ma nic innym do zaoferowania – mówi Helena Usova. – *Jej bogactwo to olej słonecznikowy i chyba najlepsze na świecie wina, na które Rosja w ramach restrykcji nałożyła od roku embargo licząc, że wyniszczy to tutejszy przemysł winny.* Na szczęście jej się to nie udało. Ponad 66% powierzchni kraju zajmują właśnie pola uprawne, na których rośnie słonecznik, buraki cukrowe, tytoń, pszenica i oczywiście kukurydza. To z niej przyrządza się narodową potrawę mamałygę. Tę żółtą „babkę" wyrabianą z mąki kukurydzianej nazywają tu słońcem na talerzu i podają z ostrym sosem czosnkowym z oliwą i tartą bryndzą. A na wystawniejsze przyjęcie także z gulaszem z pociętej na kawałki baraniny na ostro.



Mołdawia

Tajemnice mnicha Jefremija

Przy drogach rzędy niskich orzechów włoskich. A co kilka kilometrów studnie głębinowe, przy których można się odświeżyć. Na stacji benzynowej na trasie do Kiszyniowa dziesięcioletni Sieroża patrzy na nas z zainteresowaniem. Uśmiecha się, kiedy dajemy mu coś słodkiego. – *Jest zadowolony, bo jeszcze nie wie, że można żyć inaczej* – podsumowuje Dima. 40 km przed stolicą skręcamy do Orheiul Vechi, średniowiecznego klasztoru wykutego w skale klifowej. Według

archeologów kiedyś znajdowała się tu osada, pochodząca z VII-IV w. przed Chrystusem. Trzeba zwolnić na wyboistych, polnych drogach. – *Za więzieniem musicie skręcić w prawo* – informuje kierowca motoru z doczepianą przyczepką, popularnym tu środkiem lokomocji. – *Jak byłem na praktyce w więzieniu, widziałem paradoksy tutejszego prawa* – mówi Dima. – *Za kradzież ktoś odsiadywał 5 lat, za zabójstwo – mniej.* Nagle zza winnych wzgórz wyłania się ciągnąca wzdłuż wąwozu czarna skalna ściana z zarysem budowanej cerkwi, starą dzwonnicą i krzyżem przy białej drodze wydeptanej na szczycie. – *Te otwory w skale to okienka cel mnichów* – pokazuje nasz przewodnik. U podnóża skały niebieska nitka rzeki Raut z kropkami dzikich gęsi. Wchodząc na szczyt czujemy jakbyśmy wstępowali w inną rzeczywistość. Surowe, nagie ściany kanionu otaczają wzgórze. Są dużo wyższe i masywniejsze niż sam szczyt, jakby były jego opakowaniem. Z 40-stopniowego upału z ulgą wchodzimy do skalnej groty, gdzie po zejściu kilkoma olbrzymimi schodami trafiamy do wydrążonej w kamieniu cerkwi. Teraz słońce wpada tu z zachodu, od strony skalnej półki na którą wyszedł mnich Jefremij z opadającą na piersi siwiejącą brodą. Otwartego wejścia i dziur zamiast okien nie zakrywa na noc. Wpada tu światło księżyca i pewnie nietoperze, ale nic o nich nie wspomina. W wydrążonym w skale miejscu do spania, tuż obok kaplicy, ma rozłożone kilimy i koce. Mieszka tak sam od czterech i pół roku. W dzień zasiada za stolikiem zastawionym świeczkami, obrazkami świętych, książeczkami do modlitwy,

balsamem do smarowania dobrym na wszystko, jeśli tak to sobie kupujący założy. Pochodzi spod Sorok. Tylko czasem odwiedza go garbaty dzwonnik przysłany tu jakby z jakiejś powieści gotyckiej. Teraz patrzy na nas spod ciemniej grzywki wyrazistymi, czarnymi oczami. I oczywiście latem – turyści. Często dziennie przychodzi tu po 200, 300 osób. (Po drodze minęła nas grupka młodzieży z Niemiec). – *Szukałem prawdy i tu ją znalazłem* – odpowiada Jefremij przymuszany naszymi pytaniami. – „Co to jest prawda?" – pytał Piłat, ale nie usłyszał odpowiedzi. Wyszedł na plac i doszedł go głos tłumu: „Na krzyż z Nim, na krzyż". *Prawda to krzyż. Co dziś jest ważne? I tak słuchać nie będziecie* – patrzy na nas z wyrzutem. – *Środki masowego przekazu zalewają nas złymi informacjami, rozbijają duszę. Ojcowie święci mówili: „Człowiek je, żeby żyć", a dziś ludzie żyją, żeby jeść. I to błąd. Jakie jest z tego wyjście?* – nie wiadomo pyta nas czy samego siebie. – *Oddać życie za Niego. Tam, po drugiej stronie, czekają nagrody, o których się nie śniło nikomu* – uśmiecha się.

Siemion kocha swój Komrat

Na południu Mołdawii leży autonomiczny region Gagauzji. Zamieszkują go Gagauzi – nazywający się „narodem pochodzenia tureckiego". Według badaczy mogą to być sturczeni Bułgarzy lub nawet sturczeni Grecy. Stanowią 80% ludności tego 170 tys. regionu. Na czele autonomii stoi gubernator Mihail Formuzal.

Wybrali też swój parlament. Ale na szczęście nie stworzyli granicy utrudniającej wjazd. Jedziemy więc wijącą się na pagórkach, mocno sfatygowaną asfaltówką pośród zjawiskowo pięknych żółto–zielonych, wznoszących się i opadających pól, ozdobionych małymi drzewkami. Wreszcie widać Komrat, stolicę Gagauzji, liczącą ponad 20 tys. mieszkańców. W górze naszej drogi sklepik i cerkiew. W dole prawie lepianki Gagauzów i Romów, którzy za cały dobytek mają kilka gąsek albo czarnych owiec, bo białe to u nich rzadkość. Jakiś gospodarz odrywa się od czyszczenia ryby i wita nas z nożem w ręku. Prawie goli, brązowskórzy i skośnoocy chłopcy grają na wyciosanych z drewna miniaturowych instrumentach z chyba tylko jedną struną. Ale i tak są z nich dumni, i dotykając tej struny słyszą muzykę, o której nam się nie śniło. Dla nich dobrze, ze jest tak ciepło. Rodzice mogą zaoszczędzić na ubraniach. Kiedy stajemy obok sklepu, zagaduje nas właściciel, Wasilij Nikołajewicz, z dziećmi 3-letnią Lenką i 10-letnim Siemionem. Zaprasza do środka, bo tam chłodniej, a upał dobija do 50 stopni. Z włączonego telewizora możemy się dowiedzieć, że temperatura pobiła dziś wszelkie rekordy wysokości. Zaraz z żoną Natalią zamieniają swój sklepik ogólnospożywczy, w którym na półkach stoją te same marki artykułów co na całym świecie, w małą knajpkę. Siemion staje za ladą i oparty o szklane gabloty z cukierkami patrzy na nas z zadumą. Jego rodzice stawiają na wyciągniętym gdzieś z zaplecza plastikowym stoliku kawę, chleb, ser i oczywiście swojskie wino, które podobno ma w tym

gorącym klimacie właściwości antybakteryjne i często dodawane jest do mało przydatnej do picia wody. Ale oni są niepijący, bo tak sobie założyli. Słyszymy jak Natalia rozmawia z kupującymi. Widać, że uznają ją za „miastowy" autorytet. – *Tu czystej kultury gagauskiej nie ma* – żali się. – *Ustawodawstwo przyszło od Rosji, nawet przeklinają po rosyjsku… A nikt nie kultywuje tradycji. Nie ma tu żadnych zrzeszeń, kółek regionalnych. Gdzie możesz sobie odpocząć?* – zwraca się do męża. – *W barze* – odpowiada za niego. – *Ale ja lubię Komrat* – przerywa jej Siemion, wzorowy uczeń, któremu rodzice chcą podłączyć internet, żeby poznawał świat. – *Bo tu się urodziłem*. Cała ich rodzina mówi też w języku gagauskim, należącym do rodziny języków tureckich, od 1957 zapisywanym w cyrylicy. – *Na przykład „ja ciebie kocham" po gagausku brzmi: „Bien sieni siewierim"* – zaczyna zapoznawać nas z językiem Wasilij. Obok kolorowego, maleńkiego domku w stylu gagauskim wytyczyli miejsce na nowy. I chwalą się swoimi marzeniami, jaki będzie. Ale to dopiero kwestia czasu. Częstują nas całymi kiściami dorodnych winogron i – jak swoi – zapraszają, żeby wrócić. Zapisują adres na kartce i podają e-mail syna. Przy drodze powrotnej rozwinięte jak kolorowa wstążka szeregi handlarek, sprzedających winogrona, arbuzy, melony. Zatrzymujemy się po arbuza zamiast wody. Jedna z kobiet o gagauskiej urodzie, słysząc, że rozmawiamy po polsku wyrywa się: *Mój otiec Poliak, jestem Katia Baliński.* A więc i tu jesteśmy jak w domu.